Nr. 13. Lwow, 25. września 1882. Rocznik IV.

STRAŻNICA POLSKA

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.
Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

REDAKCYA ulica Trybunalska Nr. 1.
ADMINISTRACYA Rynek liczba 9.
EKSPEDYCYA główna Rynek, l. 9
i w Trafice (Hotel Żorża), róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.
W Krakowie: w Trafice F. A. Grigara Rynek, l. 39.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
na prowincyi . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Zaproszenie do prenumeraty.

Dla uregulowania nakładu zapraszamy do wczesnej przedpłaty na „**Strażnicę polską**" i „**Sztandar polski**" z dniem 1go października b. r. na następny kwartał.

Przedpłata na „**Sztandar polski**" i „**Strażnicę polską**" wynosi:

kwartalnie we Lwowie (bez przesyłki)	**1** zł. **50** ct.
„ „ z przesyłką pocztową . . .	**1** „ **70** „
„ na prowincyi	**1** „ **75** „
„ za granicą	**2** „ — „
rocznie we Lwowie . . .	**6** zł.
„ na prowincyi .	**7** „
„ za granicą . .	**8** „
Inseraty od wiersza (petit)	**5** ct.

Prenumerować można przysyłając przekazy pocztowe pod adresem: **Do Administracyi „Sztandaru polskiego" (lub „Strażnicy polskiej), na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni pani Anny Waydowiczowej, Rynek l. 9, we Lwowie. — W Krakowie u p. F. A. Grigara, Rynek l. 39.**

Kto nie życzy sobie nadal pism naszych prenumerować, zechce numer ten zwrócić.

W imię zgrzybiałości na stos z postępem.

Bez rozwlekłych wstępów, mamy honor przedstawić Szanownym czytelnikom w powyższym tytule rezultat głosowania nad wnioskiem w Sejmie o głos wirylny dla rektora politechniki lwowskiej.

Tak jest, sumą mądrości głosów poselskich nad projektem udzielenia głosu w Sejmie rektorowi politechniki było, że ponieważ zgrzybiałość i siwizna znajduje ogólny szacunek w świecie, ponieważ starość ta doznałaby despektu, gdyby równouprawnić z nią pełną życia młodość, więc: niech żyją groby a precz z postępem.

Nie jest to wcale nowa taktyka w kraju, w którym możnaby urządzić wystawę wszelkiego rodzaju przesądów tak poważnych, że przyznałby się do nich śmiało wiek siedmnasty i najsmutniejszy okres zdziczenia wieku ośmnastego.

Nie jest to także nowością słyszeć w pewnej sprawie pozornych prawd tak dużo, że aż się wierzyć chce w pierwszej chwili, że wyszły z głębi przekonania, z rozwagi wszechstronnej. Ale jakże smutno wyglądają te pozorne prawdy przy świetle rozbioru krytycznego. Wyglądają na to, czem są w istocie: na frazesa, których zadaniem durzyć łatwowiernych.

W wypadku powyższym było to tem łatwiejsze, że można było walczyć niby w imię postępu idealnego, przeciw rzeczywistemu złemu, które obowiązuje. W takiem położeniu dobra jest broń zarówno idealnej demokracyi, jak i grobowego konserwatyzmu. Ostatecznie bowiem idzie tylko o to, ażeby rzecz samą zabić.

W kwestyi wniosku głosu wirylnego miał zaszczyt p. Jan Popiel zabierać głos po raz pierwszy, ażeby wykazać, że obecne pokolenie tak już jest zdemokratyzowane, że mu „arystokracya nauki z jej aż spleśniałemi od starości prawami i przywilejami już zbrzydła."

Szanowny poseł powinien był jednak zrobić zastrzeżenie, że nie całe przecie pokolenie tak bardzo zdemokratyzowane i jeżeli mu jaka arystokracya sprawia obrzydzenie, to tylko pseudoarystokracya, czy ona jest rodową, czy rozumową a opierającą się o cuda, głównie dla tego, że potrzebuje podpórek. I to właśnie skopuł nowej instytucyi, politechniki, dla którego nie znalazła łaski w oczach p. Popiela, że pozbawiona jest wydziału teologicznego, że chemia nie ma nic wspólnego z siłą nadprzyrodzoną, że badanie i konstruowanie sił mechanicznych opiera się równie tylko a rozumie ludzkim.

Między innemi słyszeliśmy także zarzut, zrobiony komisyi prawniczej za to, że poczytała uniwersytet i politechnikę za instytucye równorzędne, i drugi zarzut, iż poczytała tylko dla tego, że ma tytuł *Hochschule*, który według posła nie ma w polskim języku równoznaczącego wyrazu.

Naprzód, gdyby komisya tylko dla tytułu poczytywała instytucye za równorzędne, to komisya popełniłaby tylko błąd taki sam, którego się dopuścił p. Popiel bez jej interwencyi. Szanowny poseł nie wie o tem, że minęły czasy, w których zbrodnią było pospolitować nauki i równą zbrodnią nie dzielić nauk na wyzwolone i niewyzwolone. Dziś arystokracya, ale tylko nauki, która w nich nie szuka innych celów i nie używa za płaszczyk do przemycania opinji wstecznych — poczytuje nauki wszystkie za równorzędne. Powtóre słowo Hochschule, jeżeli już idzie o formę, a o formę tylko nie o treść idzie nowoczesnemu Tucydydesowi — otóż Hochschule ma w polskim języku bardzo odpowiedni i dość dawny wyraz, znany i w rzeczy i w treści niegdyś w Królestwie Polskiem, a mianowicie: Szkoła Główna, z której wychodzili i doktorowie filozofii i chemicy i architekci, którym jednak nie przychodziło nikomu na myśl zarzucać nierównorzędności w wykształceniu fachowem. Według p. Popiela jednak z uniwersytetów zgrzybiałych wychodzi tylko arystokracya umysłowa a z politechnik plebs. Jeżeli sobie szanowny czytelnik przypomni czasy edukacyi jezuickiej w Polsce, to przyjdzie mu koniecznie na myśl, że i akademię krakowską podobnie traktowali jezuici, jak dziś p. Popiel politechnikę. Podówczas owa „zgrzybiała matka nauk" nie była w oczach jezuickich tylko zbiegowiskiem kmieci, proletaryatu, a kollegia jezuickie jedynie godnemi przybytkami ludzi z klejnotem.

„Wszak — powiada p. Popiel — politechniki są to latorośle młode, odrosłe od wiekowego pnia wtedy, kiedy te drzewa prastare w swoich konarach mleczu nauki już pomieścić nie mogły".

I ztąd racya, że kiedy uniwersytety nie mogły pomieścić nauki wszystkiej, któraby w ich murach była równorzędną, to też same nauki w innych murach, Głównej szkoły politechnicznej stają się podrzędnemi.

My doprawdy, wedle pojęć całkiem logicznego rozumowania i pojęć arystokracyi nauki europejskiej a nie parafiańskiej, nie pojmujemy wyższości ani niższości, szczególniej w naukach ścisłych, lubo wiemy, jaką prowadzono walkę, ażali systemy filozoficzne można zaliczyć do nauk ścisłych.

Zresztą z nauki jednej, odmiennej, nie może odrastać żaden nowy system, ale systemy umiejętności tworzą się w miarę rozwoju potrzeb ludzkości. Czem więcej który system ma możności zgeneralizowania, czyli zastosowania swoich zdobyczy, tem większy honor, ale nie ujma tej umiejętności. Tę zaletę posiadają zastosowane nauki techniczne, ale dla tego nikt twierdzić nie będzie, że niepotrzebną już jest lub podrzędną nauka prawa, historyi lub ekonomii politycznej. Widzieliśmy jednak, że znalazł się poseł, który ocenił w ten sposób umiejętności ścisłe, że chce w nich widzieć podrzędność, plebs nauk, kiedy innym przyznaje rodowód arystokratyczny, bo stare, bo zgrzybiałe, bo je nauczono szanować od wieków. Więc rzecz nową, wypełniającą jedną lub wiele potrzeb społecznych wyobraża sobie szanowny poseł jako chłopa, który potrzebuje nobilitacyi. Nie wiemy, jaki areopag myśli powołać do tej akcyi, ale wiemy o co mu idzie. Nie życzy sobie pomnożenia w sejmie żywiołów postępowych i ztąd owe cudowne mniemanie o cudownych odroślach nauk, które nie noszą stępla uznania wieków przeszłych, co zresztą jest naturalne, bo wieki przeszłe nie miały pojęcia o tem, co zdobył zdemokratyzowany wiek dziewiętnasty. Nie wiemy tylko po co się ktoś powołuje na wykształconą i ucywilizowaną Europę, skoro cywilizacyę dzieli na arystokratyczną i demokratyczną. Pięknieby wyglądała ta cywilizacya, gdyby tylko takich miała orędowników. Wspomnienie o arystokracyi nauki w ustach posła, któr w innym ustępie odkrywa co jest jedyną duszy jego pociechą, jest pustym frazesem, bo arystokracyę tę pojmuje po staroszlachecku i parafiańsku i w końcu się oburza na myśl o powiększeniu posłów z miast. Podobne oburzenia, sofizmata, niedowcipne dowcipy, słowem cały arsenał starej szkoły reprezentantów „klejnotu szlacheckiego" byłyby odpowiednie, gdyby sejm galicyjski był w samej rzeczy tylko wyrazem woli nierównorzędnych, uprzywilejowanych nobilitacyą obywateli. Ale że tak nie jest, to nadzieja w woli, poczuciu i koniec końców w świetle szerzącem się w społeczeństwie, dorobimy się równouprawnienia w istocie, będącego dziś w zasadzie i teoryi.

Lecz ułomność wieków minionych wyrażająca się w reprezentancie teoryj grobowych, w miłośniku tego robactwa przesądów, które niegdyś żyły i były w warunkach owoczesnych nieuniknionemi — ułomność ta była przynajmniej nie zdumiewającą w ustach konserwatora humanizmu, pojętego w ten sposób, że milion dusz musiało skomleć pod uciskiem, ażeby trzech, czterech lub więcej wybranych rozkoszowało.

Inna rzecz z drugim mówcą, który zabierał głos do wniosku na owem siódmem posiedzeniu sejmowem. Drugim przeciwnikiem pomnożenia w sejmie żywiołu inteligentnego i postępowego był poseł Hausner, a zatem z antecedencyj poseł zasad postępowych. Wiadomo wszelako, że dla zasad postępowych i wcielenia ich w życie czynem, wa-

runki są bardzo trudne. Wiadomo także, iż nie straszne są te zasady, gdy ich ktoś używa za chorągiewkę tylko, gdy się nie stara zastosować do realnych danych, gdy się słowem nie chce liczyć ze stosunkami i nie chce w stosunkach tych robić powolnie wyłomu. Nie robi tego, kto upartemu, przesądnemu ciału przedstawia obraz idealny postępu, jakiby on mógł być w przyszłości. Nie zrobił tego i p. Hausner, bo się to nie zgadzało z jego ideałem demokratycznego postępu.

Według p. Hausnera nie powinniśmy w granicach możebności modyfikować naszych urządzeń społecznych i politycznych i zastosowywać ich do ducha narodowości naszej, bo taka cząstkowa modyfikacya nie jest pełnem wyrazem tego ducha. Demokracya polska nie powinna się starać o szerzenie swoich opinij, bo od razu nie może stanąć tam, gdzieby pragnęła, to jest w odrodzonym społecznie i politycznie ustroju narodowym, któryby przyznawał prawo wyboru każdemu obywatelowi. P. Hausner nazywa wniosek Wydziału krajowego anachronizmem, oczywiście w Europie, bo sam czuje, że w Galicyi żadnego anachronizmu popełnić nie można, bo tam gdzie wszystkie skłonności, nałogi i uczucia są anachronizmem, tam tożsamość czyli woda tonie w morzu niepostrzeżenie.

Ale wszystkie te anachronizmy w obec Europy można było zaznaczyć bez deklamacyj o postępie, który nic na tem nie zyskał, że p. Hausner raczył wyrazić nadzieję radykalnej zmiany ordynacyi wyborczej. Postęp natomiast zyskałby, gdyby pod kiepską i zastarzałą formą przybył sejmowi świeży i energiczny czynnik. Możemy ręczyć szyjami demokratycznemi, że Europa nie byłaby się zgorszyła takim anachronizmem, jak się nie gorszy, że pod formą nowoczesnej konstytucyi wchodzą do sejmu tak znakomite zabytki archeologii w pojęciach, że nie powstydziłby się ich żaden podstarości zaścianka z przeszłego wieku.

Dla kompletu obadwa głosy były potrzebne. Nieboszczyk Tucydydes wykazywał wady demokracyi, a poseł Popiel sądząc, że idzie w jego ślady, połajał współczesne pokolenie za zbyteczne zdemokratyzowanie. Nieboszczyk Tacyt przedstawiał w jaskrawych barwach ohydy imperyalizmu, a poseł Hausner pragnął nam również dowieść rzecz nie nową wprawdzie, ale z patosem, że Schmerlingowska ordynacya jest zabytkiem brzydkiego absolutyzmu.

Cóż tedy począć?

P. Hausner odpowiada: podnieść się do ideału — w duchu.

P. Popiel powtarza w duszy toż samo. Podnieść się do ideału zgrzybiałych akademij i . . . nie pomnażać zastępu posłów z miast, nie przypuszczać do rady intruzów-demokratów.

P. Hausner jest w duchu bardzo zdemokratyzowanym, tylko w stosunkach rzeczywistych boi się nawet „unikatu“, bo mogłoby z czasem nastąpić pomnożenie tych unikatów i przestałyby być wyjątkami.

P. Hausner sądzi zresztą, że obowiązkiem naszym być wiecznie „papugą narodów“ i robić tylko to co inne zrobiły, a ponieważ Prusy, Saksonia, Badeńskie et cetera nie mają rektorów politechnik w reprezentacyach, i myśmy ich mieć nie powinni.

Wszystko to w imię zasady demokratycznej, utrwalonej w duszy szanownego posła tak dalece, że gotów skazać na stos ludzi i stosunki rzeczywiste, byle się utrzymała zasada — także notabene tylko w duchu, nie w życiu.

Naturalnie, że deklamacya na temat postępowy robi wrażenie na nieśmiałych postępowcach a w miarę wymowy przekonywa ich o konieczności reformy.

Czemużby nie — mówią w duszy — reformujmy wszystko, reformujmy wybory, ordynacye, statut, a z takiej reformy wyjdą ludzie idealni, którzy zrozumieją zadanie demokratyczne i nie będą się domagali głosów wirylnych.

Na konserwatystów deklamacya tak górna robi znowu inne wrażenie. Naprzykład takie, jak Oda do młodości. „Hej ramię, do ramienia!“ A tak, tak, mówią na pół senni — do ramienia, ale to panie dobrodzieju daleka przyszłość. Co tam zrobi pokolenie któreś, niech robi, to nas nic nie obchodzi. Deklamator sam przyznaje, że to niemożebne w dzisiejszych warunkach. O, to idealne te jego poglądy!

A koniec jaki tej podniosłej pieśni?

Oto taki, że obiecano krajowi i żywiołom postępowym mnóstwo pięknych rzeczy, których nie żądano, bo żądać w warunkach dzisiejszych jest mrzonką, a nie dano ani jednej owej rzeczy, której się domagali ludzie inteligentni i wniosek komisyi.

Żywioły postępowe były gotowe cieszyć się tem coby uzyskały i znieść wszelkie złe skutki swojego żądania, a ultra postępowy idealizm i ultra konserwatywny arystokratyzm złożyły się wspólną pracą na to, żeby skazać na stos postęp. Dobrze mu tak, niech się nie przemyca w szacie przestarzałej dla jednego, a zbyt demokratycznej dla drugiego. Niech żyje racya osób a o resztę — mniejsza.

Interpelacya.

W obec artykułu p. Dra Stelli Sawickiego, inspektora szpitali głównych w Galicyi, pod tytułem, „Wydział krajowy i szpitale“ — zamieszczonego w *Dzien. pols.*, a który z własnego lub też władzy przełożonej przekonania orzekł:

— „jakoby dobroczynność prywatna skierowała się wyłącznie do wspomagania uczącej się młodzieży i tworzenia nowych stypendyi tak, że obowiązek niesienia pomocy chorej ludności, spadł całkowicie na kraj i na gminy“.

Gdy nikt nie waży się powątpiewać, że p. Dr. Sawicki, zanim artykuł ten oddał do druku, jako urzędnik Wydziału krajowego, przedłożył go niezawodnie temuż, aby uzyskać pozwolenie do ogłoszenia. Otóż dziwić się należy, że Wysoki Wydział krajowy mógł zezwolić na tak błędne orzeczenie; bo wolno przeciętnemu obywatelowi kraju nie wiedzieć o ofiarności jego współobywateli, ale nie Wydziałowi krajowemu, który stoi a przynajmniej stać winien na straży fundacyi publicznej.

Gdy jak nas doświadczenie poucza, już od lat kilku wszelkie nieprawidłowe sprawy, dotyczące dobra kraju, cieszą się szczególną opieką i ochroną tarczy, na której zdaje się być wypisane: *noli me tangere* — a w rzadkim tylko wypadku zdobywa się któryś z posłów na cywilną odwagę, aby zażądać objaśnienia od Wydziału krajowego w sensacyjnej sprawie. Otóż mamy znowu przed sobą wielkiej doniosłości fakt, który wszechstronnie otaczany jest jak najtroskliwszą tajemnicą. W Nrze 219 *Dzien. pol.*, czytamy w kronice codziennej, następujący króciutki artykuł:

„Kraków 22. września. Wykonanie rozporządzenia ostatniej woli śp. Anny z Treutlerów Helclowej pozostało dotąd martwą literą; pana Szumańskiego, egzekutora testamentu, nikt nie urguje, a Wydział krajowy, jako władza kontrolująca i prokuratorya skarbu we Lwowie, jako władza opiekuńcza, dozwalają, by fundacya ta, wynosząca przeszło jeden i pół miliona złr., spoczywała spokojnie w aktach — gmina zaś krakowska, wykluczona od wszelkiej ingerencyi przez testatorkę, oczekuje z rezygnacyą błogiej chwili, w której starcy i ubodzy tak hojnie obdarzeni zapisem, znajdą umieszczenie w zakładzie ad hoc zbudowanym. Życzyćby należało, aby posłowie krakowscy i pan Marszałek, którzy sprawę znają dokładnie, wdali się w tę rzecz i pomogli do jej załatwienia“.

Przedewszystkiem sprostować musimy, że w artykule tym, dopuszczono się pomyłki, gdyż egzekutorem testamentu ś. p. Anny z Treutlerów Helzlowej, nie jest p. „Szumański“ ale p. Szumańczowski, poseł na Sejm krajowy.

Otóż z powodu tego znacznego legatu, a którym nie tylko „starcy i ubodzy“, ale i „nieuleczalni“ mają być objęci, obiegają podczas obecnej kadencyi sejmowej, najpotworniejsze wieści.

Niewychodzą one z ulicy, ale omawiane są po prywatnych zgromadzeniach pp. posłów zasiadających w Sejmie, skąd dochodzą do szerszej publiczności. O ile one są prawdziwe lub nie, nie bierzemy za nie odpowiedzialności; ale gdy wychodzą z tak poważnych źródeł i rzucają nader ujemne światło na wydatne osobistości autonomicznej reprezentacyi kraju, podajemy to, co jest głośną tajemnicą:

Przed trzema laty, umarła ś. p. Anna z Treutlerów Helzlowa, która pozostawiła legat półtora milionowej fortuny na cele humanitarne, określając szczegółowo warunki tej fundacyi. Wykonawcą tej ostatniej woli, naznaczyła p. Szumańczowskiego, posła na Sejm krajowy, pozostawiając mu znaczny legat, który nazwała depozytem p. Szumańczowskiego, zawierającym 30.000 złr. W testamencie ma być wyraźnie powiedziane, że p. Szumańczowski obejmując dobra Radłów i inny majątek, przeznaczony na fundacyę, nie ma obowiązku przez rok jeden, składania komukolwiek rachunków. Natomiast, po roku dobra mają być sprzedane, a egzekutor testamentu przystąpi bezzwłocznie do wprowadzenia w życie fundacyi. Jak znający dobra Radłów twierdzą, przynoszą takowe kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu. Egzekutor testamentu p. Szumańczowski, należy jednak widocznie do „inaczej myślących“, aniżeli ostatnia wola opiewa śp. fundatorki. Trzy lata mijają. a p. Sz. nie uznał dotąd za właściwe, złożyć rachunków z majątków fundacyi. Tak samo Wysoki Wydział krajowy nie uważał się dotąd obowiązanym do bliższego zajrzenia w sprawę fundacyi, chociaż On, a nikt inny, ma stać na straży wszelkiego rodzaju legatów krajowych. P. p. posłowie, opowiadają sobie jeszcze nawzajem mnóstwo innych szczegółów i tak: iż gdy się wypadkowo dowiedziano, że dobra Radłów mają być sprzedane, zgłosili się kompetentni nabywcy, krajowcy, do p. Szumańczowskiego, upraszając go, aby im dał polecenie do zarządu dóbr, w celu obejrzenia tychże. Pan Sz. z początku stanowczo odmówił, a gdy go z innej strony zapytano dla czego to czyni, odpowiedział; — że takie zlecenie wpłynęłoby demoralizująco na jego urzędników (!?) w Radłowie. Następnie, gdy nalegania nie ustawały, naznaczył termin oględzin dóbr na listopad z r., w którym to czasie kandydat do kupna nie mógł nabyć wyobrażenia o glebie i t. d. W taki sposób, spełznął w cichości projekt nabycia. Dla nas jest ciekawem orzeczenie p. Sz., jak pojmuje szan. poseł egzekutor testamentu stosunek swój do dóbr Radłowa, nazywając administracyę tychże dóbr, „swoimi urzędnikami“ oraz w jaki sposób mogliby się zdemoralizować, gdy ktoś dobra ogląda?

Zagadkę tę rozwiązują znów następujące pogłoski: Oto p. Szumańczowski ma być w ogóle przeciwnym woli śp. testatorki, aby dobra Radłów miały być sprzedane. Natomiast nosi się z myślą i już miał zaprojektować tam gdzie należy, aby dobra te obciążyć długiem bankowy pięć do 600.000 zł. i ten fundusz użyć na wprowadzenie w życie woli ś. p. testatorki. Aczkolwiek trudno pojąć takie sprzeciwienie się ostatniej woli, to rzecz się cokolwiek wyjaśnia, jeżeli jest prawdziwe jak głoszą: iż w testamencie ma być jakaś klauzula, podług której p. Sz. zostając dożywotnim kuratorem majątku, nie byłby zobowiązanym składać rachunków nikomu.

Czy opowiadania te są prawdziwe lub nie, jak to już wyżej powiedzieliśmy, nie bierzemy za nie odpowiedzialności. Są jednak uprawnione, jeżeli dotąd cała ta fundacya trzymaną była z pozorami wszelkiej tajemnicy przed krajem, gdyż nawet nie każdemu członkowi w Izbie Sejmu krajowego są wiadome szczegóły testamentu śp. Anny Helzlowej.

Byłoby więc wielce do życzenia, aby znalazł się który z szan. posłów odważniejszej natury, któryby zainterpelował Wysoki Wydział krajowy, co się dzieje z półtoramilionową fundacyą. Wypadałoby przedewszystkiem zażądać ogłoszenia fundacyi, bo przecież publikacya taka nie może wpłynąć na szkodę kraju. Następnie byłoby również korzystnem, aby Sejm wysłał do Radłowa komisyę lustracyjną, któraby przekonała się naocznie o obecnym stanie dóbr. Nie potrzebujemy mówić, że takie ubliżające pogłoski, sprawiedliwe lub nie, muszą oddziałać niekorzystnie na tych, którzy się noszą z myślą czynienia fundacyi humanitarnych.

Jeżeli już mowa o lustracyach, to jest również ciekawą rzeczą, jak też daleko postąpiły prace pp. lustratorów lasów fundacyi śp. hr. Skarbka?

A najwięcej na czasie byłaby wycieczka komisyi lustracyjnej do Kulikowa, aby się przekonać na jak silnych kotwicach przymocowaną jest zdefraudowana suma w głównej kasie fundacyi skarbkowskiej, w kwocie 35 000 zł., gdyż jak coraz głośniejsze wieści krążą, dla upozorowania tej nadpowietrznej hipoteki, kuratorya skarbkowska za zezwoleniem Wydziału krajowego, już kupiła czy chce kupić sobie Kulików, którego wartość realna dosięga jedynie długów zahipotekowanych przed zdefraudowaną sumą 35.000 zł. z głównej kasy kuratoryi.

Panowie posłowie mieliby obowiązek zajrzenia i w to projektowane kupno bliżej.

Po procesie o główną zdradę.

(Ciąg dalszy).

„Diło“ wskazawszy Rusinom obowiązki co do narodu a dalej co do kraju, poucza ich następnie o obowiązkach co do drugich narodów i tak:

„Wszystko to cośmy wyżej zaznaczyli, wskazuje nasze stanowisko i nasze stosunki do innych, sąsiadujących z nami lub wespół z nami żyjących narodów. Pragniemy tylko swego, a nie cudzego, swego życia swobodnego, swoich praw uszanowanych, swego rozwoju niezamąconego i niczem nienarzuconego. Jest to głównym znamieniem całej naszej historyi narodowej, że ruski naród nigdy, nawet w czasie swej największej potęgi, nie targnął się na cudze dobro. W duszy narodu naszego nie było i nie ma rasowej zawiści ku innym narodom, a mianowicie sąsiednim. Jest tylko zawiść nieubłagana przeciw gniotącym go pasożytom tych sąsiednich narodów, jaśniej mówiąc — przeciw sąsiednio narodnym pjawkom, co z sąsiedztwa naszego przełaziły i dotąd jeszcze przełażą do nas w postaci najróżnorodniejszych wyzyskiwaczy.. Zawiść ta przeciw wyzyskującym i gniotącym nas, to nic innego, jak tylko następstwo poczucia swej żywotności,

prawdy i swego prawa w narodzie. Nawet do Polaków, o których tylko smutne wspomnienie zapisano w pamięci naszego narodu, naród ruski nie odzywa się z gromką groźbą zagłady ich narodowości, ale jakby rozumniejszy i głębokiem poczuciem sprawiedliwości i równouprawnienia wiedziony brat, woła: „Posuń się Polaku, niech i Rusin siądzie.“ Z Rumunami wiązała nas od wieków aż do ostatnich czasów szczera przyjaźń, która niejednokrotnie wiodła przodków naszych dla obrony ich przeciw Turkom. I tak na wszystkich kresach naszej rozległej ojczyzny, w każdym okresie naszej historyi można się spotkać z temi samemi objawami. Oto znamię międzynarodowej miłości, czy tolerancyi i zamiłowania spokoju, to jedno z najpiękniejszych przyswojeństw narodowości naszej. które nader usposabia nasz naród do prawdziwego, międzynarodowego, równouprawnionego, istotnie federacyjnego życia, którego ideałem, aby w każdym narodzie była „swoju prawda i siła i wola.“ — Oto zarazem i wskazówka dla wszystkich sąsiadów naszych, w jakim mają stać stosunku do narodu ruskiego. „Szanuj swoje — nie pragnij cudzego“, mówi nasz naród do swego sąsiada, jeśli mu ten ma być dobrym sąsiadem. Przemienić tę ogólną zasadę w czyn, to nasze zadanie w stosunkach naszych co do innych narodów. Musimy i będziemy walczyć do ostatka za to co nasze, za wszystkie nasze prawa, przeciwko wszelkim krzywdom i uciskom, ale w obec tego wszystkiego wierni tej naszej idei narodowej, nie porzucimy naszego ideału wszechludzkiej miłości i tolerancyi międzynarodowej, spokojnego życia narodów obok siebie i przy wzajemnem równouprawnieniu i poszanowaniu, nie przestaniemy wzywać do opamiętania się zapamiętałych napastników, wskazywać im jaką robią szkodę i nam i sobie i krajowi i ludzkości swemi napaściami i krzywdami, będziem ich nawoływać do opamiętania, do prawego, sprawiedliwego i spokojnego życia. A niełatwa to rzecz, tem więcej, że krzywdzonemu i uciskanemu nieraz ciężko ból dojmuje za doznaną krzywdę i nie może odezwać się ze słowem miłości. Pomimo to, trzeba iść tą drogą, trzeba dać poznać, że stawiamy opór tylko krzywdzie i uciskom, ale nie sprzeciwiamy się spokojnemu życiu po prawdzie i sprawiedliwości; trzeba dać poznać, że nienawidzimy tylko krzywdę i krzywdzicieli, ale nie dobrych braci. — A jeśli to będzie naszą zasadą, wówczas w każdym postronnym narodzie znajdą się ludzie, którzy widząc prawdę po naszej stronie, zwrócą swe serca ku nam, dla naszej sprawy i będą z czasem sami nam dopomagać do naszych dążności, rozumiejąc, że dążność nasza to dążność prawdy, sprawiedliwości i wzajemnej miłości — dążność wspólnej spokojnej pracy nad dobrem ogólnem.

Nie raz już zaznaczaliśmy na tem miejscu, że nasze stosunki międzynarodowe, mianowicie w Galicyi, w tym czysto słowiańskim kraju — są nader wielkiej wagi dla obu narodów, tak polskiego jakoteż i ruskiego, a pośrednio nawet dla całej Słowiańszczyzny. Ruś nie kończy się nad Zbruczem i Czeremoszem; Polska nie kończy się nad Wisłą. W Galicyi zespoliły się tylko cząstki obu tych narodów. Każda z tych części nie może, a bogdaj nie powinna zapominać o swej całości narodowej. Kiedy jest obowiązkiem każdej jednostki pamiętać o ogóle i dla ogółu pracować, aby w dobrobycie ogółu znaleźć i swój dobrobyt, to tem większą powinnością jest całej części narodu, pamiętać na całą swą narodowość i dla tejże pracować. To co czynią Rusini galicyjscy, ma wagę nie tylko dla nich samych, ale i dla bukowińskich, węgierskich i ukraińskich Rusinów i na odwrót. Jak niegdyś halicki kniaź Danyło jednoczył Ruś całą pod swe berło, jak żywo to Ruś halicka odczuwała, co się działo na Ukrainie, Bukowinie i Rusi węgierskiej, jak odrodzenie Rusi halickiej, podniecone życiem na Ukrainie, odbiło się głośno swego czasu nie tylko na „zielonej Bukowinie“ ale i na zakarpackiej Rusi, tak i dziś działalność Rusinów galicyjskich nie może obejść się bez wagi dla Bukowiny, dla ukraińskiej i węgierskiej Rusi. Tak samo i działalność galicyjskich Polaków jest ważną nie tylko dla nich samych, ale i dla Wielkopolan i Koroniarzy.

Czy my ale pamiętamy na tę tak ważną stronę życia naszego? — Czy pamiętamy na to my Rusini i Polacy, że życie nasze w naszym kraju odzywa się i musi się odezwać w swych następstwach nietylko we Lwowie, ale w Czerniowcach, Kijowie, Odessie i Charkowie; — nietylko w Krakowie ale i w Warszawie i Poznaniu? Czy pamiętamy na to, że nasze zabiegi i trudy i nasze czyny dla odzyskania niepodległości muszą korzystnie, lub też szkodliwie (stosownie do tego, czy są dobre czy złe) wpłynąć na pozostałe części obu narodowości; że nasze międzynarodowe stosunki w Galicyi są miarą i próbą dla naszej ogólnej doli narodowej, są miarą czy i jak potrafią żyć obok siebie nietylko Rusini i Polacy, ale i narody słowiańskie w ogóle; — że nakoniec te nasze międzynarodowe stosunki są miarą nadziei lub beznadziei naszego szerszego bytu dla każdego z obu krajowych narodów?

Co do Polaków galicyjskich musimy powiedzieć, że zapominają zupełnie o tem, jaką straszną i rażącą harmonią odbijają się międzynarodowe stosunki w Galicyi nietylko u wszystkich Rusinów, u wszystkich Słowian, ale nawet u samych zakordonowych Polaków. Tego co się dzieje obecnie w Galicyi — mianowicie co do stosunku Polaków do Rusinów, nieaprobuje i niepochwala nie tylko opinia publiczna innych narodów słowiańskich, ale nawet i opinia zdrowomyślącej części wielkopolskich i kongresowych Polaków. Polacy galicyjscy zdają się zapominać ze wszystkiem o tej ważnej roli, jaką Galicya ma na swem słowiańskiem międzynarodowem stanowisku odegrać w życiu narodów słowiańskich, a przedewszystkiem w stosunku i rozwoju obecnym ruskiego i polskiego narodu. Zdają się ze wszystkiem zapominać, że nie zuchwałe plany wojenne, nie nadzieja w zakłócenie spokoju międzynarodowego, nie walka siłą zbrojną, lecz tylko spokojna, cywilizacyjna praca, pospieszny rozwój obu narodowości w Galicyi — i tylko taka praca i taki rozwój może i musi pośrednio wpłynąć na dolę i byt pozostałych części tak ruskiej jako i polskiej narodowości za granicami Galicyi. Zdają się nie pojmować, że tu w Galicyi jest ta dźwignia Archimedesa, którą może chyżo podjąć, Rusin swoją, a Polak swoją narodową sprawę, prawda że powoli krok za krokiem, spokojnie, lecz tem pewniej, że niechybnie. Niepojmują, że krzywdy wyrządzane narodowi ruskiemu w Galicyi są krzywdą dla całego narodu tegoż a pośrednio i dla bytu narodu polskiego, że uciski ruskiej narodowości w Galicyi mogą tylko przyspieszać ale nie oddalać to niebezpieczeństwo, jakiego w czynie obawiają się wszyscy Polacy. Żeby jak chcieć mówić, zawsze zostanie niezaprzeczonym faktem, że z dolą narodu ruskiego związaną jest dola międzynarodowego życia zakarpackiej i zachodniej Słowiańszczyzny i odczuć może ona bardzo upadek albo rozwój Rusi galicyjskiej. Należałoby się Polakom galicyjskim głębiej zamyśleć nad tą kwestyą nie z zamrożonemi oczyma i nie odpychać łączących ich węzłów z ogólno słowiańskiemi interesami. Jeżeli Polacy galicyjscy nie udają, jeżeli sprawę traktują poważnie, że tak zwany „moskiewski panslawizm“ zagraża najżywotniejszym interesom Słowian, a w ich liczbie i Polakom i Rusinom, to powinni przedewszystkiem zmienić swe postępowanie, bo dotychczasowa ich polityka względem Rusi jak raz idzie na rękę temu panslawizmowi.

Oto jest właśnie owa dźwignia, gdzie nasze stosunki krajowe wiążą się z kwestyą panslawizmu. Niezadowolenie, rozstrój, ucisk i krzywdy przygotowują tylko pole do rozrostu tego zamglonego jeszcze ale tem niebezpieczniejszego panslawizmu. Fałszywy panslawizm da się zastąpić tylko prawdziwym, dobrze zrozumianym panslawizmem — takim jakim go nasz naród pojmuje, a wyrzekł go ustami swego geniusza: „żeby wszyscy Słowianie stali się dobrymi braćmi i synami słońca prawdy“. Takiego panslawizmu my Rusini nigdy się nie zaprzemy i nie przestaniemy w tej myśli pracować niestrudzenie, bo w nim byt narodu naszego i każdego słowiańskiego narodu, — to jedyny możliwy ład między narodami słowiańskimi i droga do ich cywilizacyjnego rozwoju.

Oto nasza spowiedź narodowa, to nasza droga, którą idziemy i chcemy iść dalej. Na tej drodze zamyślamy dobić się świetniejszej przyszłości dla narodu naszego, a z jasną przewodnią ideą zabieramy się do niestrudzonej pracy nad narodem — pracy wszechstronnej, pozytywnej. To cośmy tu powiedzieli, nie jest ani tak nowem ani niebyłem; to dawno czuło i czuje serce każdego szczerego Rusina. Myśmy tylko przypomnieli niejedno zapomniane, wyjaśnili niejedno co być może było nieco zamglone — rozjaśniliśmy naszą dawną, dobrą drogę, aby nią poszli wszyscy Rusini do wspólnej pracy narodowej“. C. d. n.

Pierwszy zjazd polskich techników.

Pierwszy zjazd polskich techników odbyty w Krakowie na dniu 8, 9. i 10. września b. r. zainaugurował nową erę w życiu duchowem naszego narodu Ktokolwiek widział zgromadzonych trzystu kilkudziesięciu pracowników na polu techniki i przemysłu, których głos przypomniał krajowi, iż dokąd tylko mowa polska sięga, technika polska ma godnych reprezentantów, ten przejęty być musiał radością i ożywiony nadzieją, iż naród który we wszystkich dziedzinach nauki i sztuki ma do wyboru dzielnych obywateli, zginąć nie może. Pomijając nawet stronę naukową zjazdu, już sam fakt jest wielkiej doniosłości, iż idea narodowa zjednoczyła synów jednej matki w celu podjęcia wspólnej pracy ku stworzeniu silnej i jednolitej podstawy dla rozwoju tych wszystkich czynników, bez których źródło życia każdego społeczeństwa wysychać musi. Potrzeba było na to zjazdu, ażeby mężowie jednego narodu stanęli w zbitym szeregu i zawołali: „Torujemy drogę polskiej technice“.

Szczegóły z obrad zjazdu podały pisma codzienne, nam pozostaje tylko podnieść najważniejsze momenta, które w całej Polsce odczute być winny, gdyż dotyczą one dobra młodego pokolenia i reformy naszych urządzeń stanowiących o pożyteczności naszej pracy realnej.

Zjazd pojął swoje szczytne powołanie, badając umysłowo stan naszego szkolnictwa, bo ono jest tym łącznikiem, który spaja generacye ze sobą i stanowi o moralnej wartości narodu.

Nad sprawą reformy szkół średnich głęboko się zastanowiono i podniesiono potrzebę, iż do szerzenia ogólnego wykształcenia potrzeba tylko jednej szkoły średniej, gdyż skoro lekarz, prawnik i technik jako ludzie inteligentni mają być użytecznymi obywatelami kraju, posiadać winni jednakowe wykształcenie ogólne. Nadto wykazano, iż tak gimnazya jakoteż szkoły realne przy dzisiejszym ustroju nie zaspakajają potrzeby czasu, i że kształcenie młodzieży w obcym języku wpływa na wypaczenie umysłu dziecinnego i skarłowacenie charakteru.

Uchwalono następującą rezolucyę:

„Zjazd uznaje konieczną potrzebę reformy szkół średnich w tym kierunku, ażeby zamiast istniejących szkół gimnazyalnych i realnych zaprowadzoną została wspólna szkoła średnia jako przygotowawcza do szkół politechnicznych i uniwersyteckich. — Wykłady w szkołach średnich winny się odbywać w języku ojczystym, gdyż wykłady w obcych językach wpływają na spaczenie umysłu dziecinnego i skarłowacenie charakteru“.

Co do szkoły politechnicznej we Lwowie, podniesiono słabą frekwencyę, którą szukać należy w niedostatecznem wyposażeniu szkoły, gdyż brak odpowiedniej liczby katedr zmusza młodzież do udania się po naukę za granicę. Brak odpowiednich laboratoryów technologicznych w którychby słuchacze mieli sposobność poznać własność materyałów, uznał zjazd, jako wielką lukę w środkach naukowych.

Uchwalono rezolucyę:

1) „Zjazd uznaje za obowiązek młodzieży kształcącej się za granicą w zawodach technicznych, by studya swe zawodowe odbywała na politechnice lwowskiej.

2) Uznaje się za rzecz konieczną rozwinięcie politechniki lwowskiej przez odpowiednie pomnożenie katedr i sił nauczycielskich oraz urządzenie laboratoryów technologicznych“.

W sprawie szkół przemysłowych wykazano konieczną potrzebę zaprowadzenia szkół dla czeladzi rzemieślniczej, której brak daje się dotkliwie uczuwać szczególnie w przemyśle budowlanym, który wymaga zdolnych murarzy i kamieniarzy. Młodzież rzemieślnicza ukończyć winna szkoły elementarne, chłopcy praktykujący winni być zatrudnieni w lecie przy budowlach a w zimie uczęszczać do szkoły zawodowej. Zaprowadzenie szkół tego rodzaju uważano za rzecz niezbędną, chociażby i środki miały być zebrane w drodze prywatnej. Organizacya muzeów przemysłowych wymaga wielu reform, ażeby muzea rzeczywiście stać się mogły zakładami do szerzenia wykształcenia przemysłowego.

Uznano za rzecz niezbędną. ażeby towarzystwa techniczne uprawiały szczegółowy plan organizacyjny stosując się jednak do szczupłych środków naukowych, któremi one rozporządzają. W sprawie polskiej literatury technicznej wykazano, iż dotychczas nie opłacały się materyalnie wydawnictwa techniczne i skoro odpowiednie środki materyalne będą zebrane, nie braknie poważnych prac technicznych. — Ażeby podobnemu brakowi wydawnictw, traktujących o sprawach technicznych na przyszłość zaradzić, polecono towarzystwom technicznym obmyśleć sposób dostarczenia materyalnych środków na takie wydawnictwa. W sprawie słownictwa technicznego opracowano plan organizacyjny dla dotyczących prac dotychczas luźnie prowadzonych i uchwalono wydawać słowniki techniczne dla pojedyńczych specyalności.

Nadto powzięto następujące uchwały: „Zjazd uznaje zasady wypowiedziane w memoryale towarzystwa technicznego w Krakowie i towarzystwa politechnicznego we Lwowie i wyraża przekonanie iż jedyną drogą do uzyskania planów na restauracyę Wawelu jest droga publicznej konkurencyi.“

„Zjazd uznaje za konieczne, ażeby towarzystwa techniczne i nadal czyniły zabiegi o zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego na kolejach galicyjskich“.

„Zjazd uznaje potrzebę zaprowadzenia szkoły górniczej w Krakowie“.

„Zjazd uznaje potrzebę wysyłania techników za granicę przez dotyczące władze w celu zaznajomienia ich z postępem nauki i utrzymania na wyżynie tejże“.

Gdy dodamy, iż odbyły się dwa bardzo starannie opracowane wykłady, tj. prof. Odrzywolskiego o restauracyi zamku królewskiego na Wawelu i bar. Gostkowskiego o przenoszeniu siły elektrycznej na znaczne odległości, mamy przed sobą główną treść zjazdu Powaga i znajomość rzeczy z jaką radzono nad pojedyńczemi kwestyami jest najlepszym świadectwem dojrzałości dla polskich techników, których dotychczas społeczeństwo nasze nie uważało za ciało zbiorowe

przedstawiające zasób prawdziwej inteligencyi, lecz za rzemieślników, którym dodano za opiekunów doktorów wszelkich umiejętności nawet nieodkrytych lub dopiero odkryć się mających. W krajach w których cywilizacya odniosła zwycięztwo nad uprzedzeniem i głupotą, technik zajmuje w społeczeństwie jedno z pierwszych miejsc, dla tego mamy powód do radości, iż pierwszy zjazd polskich techników zapisany będzie jako szczęśliwa chwila dla kraju, który się dowiedział o nowej i poważnej sile inteligencyi, do usług dla dobra ogółu zawsze gotowej. My którzyśmy zawsze nawoływali, iż bez udziału techniki polskiej o podniesieniu kraju z upadku ekonomicznego marzyć nie można, upatrujemy w zjeździe zwycięztwo naszych zasad, przyczem wołamy:

„Technika polska odniosła tryumf ku chwale i pożytku narodu“.

Wystawa rolniczo-przemysłowa
w Przemyślu 1882 r.

(Ciąg dalszy).

Obejrzeliśmy się po całym pawilonie tak w dziale przemysłu domowego, jak też i dalej, o ile postąpiło garncarstwo i wyroby z gliny, które w r. 1877 we Lwowie, tak obiecująco się zaprezentowały. Otóż, oprócz nowej fabryki, którą hr. Dębiński założył w Babicach w przemyskiej ziemi, który w różnych doświadczeniach, niezbędnych w takich razach, nieopuszcza rąk, nie zniechęcił się i idzie naprzód, nie ujrzeliśmy nic nowego. Na próżno pytaliśmy się o szkołę garncarską w Kołomyi, którą kierownik Niemiec, przysłany z Ministerstwa, przyprowadził po pięciu latach do zera, na czem jednak jak słyszymy, źle nie wyszedł i nie wychodzi. Szkoda zaiste nowego budynku na ten cel wystawionego, szkoda nakładów, zmarnowanych pieniędzy i czasu. Widzieliśmy na wystawie tylko jeden okaz z tejże szkoły; była to taca, którą p. K. Rogawski z Ołpin, zamówił umyślnie, aby na niej przedstawić swe znakomite sery, które kraj nasz zna bardzo mało, albowiem głównie idą za granicę. Pan R. doznał zawodu, gdyż na taką tacę zdobyłby się nasz pierwszy lepszy garncarz w którejkolwiek mieścinie. Dział wyrobów glinianych, wzrasta u nas nader pomału, pomimo, iż ma wszelkie warunki bytu i powodzenia. Była wprawdzie myśl założenia szkoły garncarskiej we Lwowie; pomysł ten niepraktycznie podniesiony, bo opierający się głównie na teoryi, obecnie upadł. Gdy się tak stało, wypadałoby coś innego uczynić, a mianowicie: pieniądze, które miały być użyte na założenie szkoły, podzielić równocześnie na kilka stypendyów dwuletnich, ogłosić bezzwłocznie konkurs dla naszych skończonych techników, a głównie słuchaczów technologii; wysłać ich do odpowiednich fabryk wyrobów glinianych za granicą ze zobowiązaniem praktycznego wykształcenia. Po powrocie do kraju, nie będzie im trudno znaleść odpowiednie środki do założenia warsztatów, czy też fabryk garncarskich. Jest to najprostszy i najradykalniejszy środek, a gdy takie warstaty powstaną, wtenczas dopiero może oddać przysługę ogólną teoretyczna szkoła w muzeum lwowskiem przemysłowem. Było wprawdzie jeszcze kilku reprezentantów wyrobów glinianych, a mianowicie: pieców kaflowych Janowskiego Konstantego z Żelazówki poczta Dąbrowa i Szebesty Józefa z Tarnowa. Widać postęp, ale piece te pod względem glazury i ceny, jakkolwiek wcale nie złe, wymagają jeszcze dłuższego rozwoju i większego nakładu, aby mogły wytrzymać konkurencyę zagraniczną i upowszednić się do użytku w kraju.

Jakkolwiek w pewnym kierunku przemysł wyrobów drzewnych staje się czem raz powszechniejszym i przybiera warunki handlowe to jednak tokarstwo nasze, któreby mogło zatrudnić setki tysięcy rąk, stać się ważnym przedmiotem wywozowym, a co najmniej wystarczyć własnym potrzebom, nie znajduje dosyć chętnych, do podniesienia tegoż.

Od wystawy krajowej we Lwowie, widzimy jedynie tylko dwóch przemysłowców, którzy wytrwale i systematycznie rozwijają się i idą naprzód. Są to pp. Edward Füller z Rozdołu i p. Dziubiński w Krasnem. Pierwszy wziął się do tej pracy z poczucia obywatelskiego, a jako niefachowy, zapłacił nie jedno frycowe. Nie opuścił jednak rąk, zrozumiał warunki bytu tego przemysłu, zastosował się do nich, to też nie dziw, że jego zakład ma przyszłość przed sobą i odda mrówczej pracy przemysłu krajowego dobre usługi.

Pan Dziubiński, fachowy i uzdolniony tokarz, gdy widział, że z zwykłym najazdem zagranicznym nie zdolny jest wytrzymać konkurencyi, przeniósł swą pracownię do Krasnego, pod bok linii kolejowej. A wziął sobie za zadanie, aby wyroby tokarskie zastosować do najtańszego materyału drzewnego, nieomal do bezcennych odpadków tegoż. Przypatrzmy się dziś, co może stworzyć człowiek myślący. Pan Dziubiński zyskał sobie takie uznanie swoich wyrobów, iż rzadko który z podróżników nie zaopatruje się w wyroby tokarskie na stacyi kolejowej w Krasnem i nie wiezie takowych w upominku nawet o kilkaset mil, do głównych ognisk, w których kwitnie przemysł oddawna. Nasze powagi przemysłowe, nie zwracają uwagi na takie bagatele, pomimo, że przyjmują mandaty sędziów na wystawach. Takie to powagi pominęły wyroby p. Dziubińskiego na wystawie w Przemyślu i pomimo, że tenże już kilku medalami został poprzednio wynagrodzony, tym razem nie uzyskał najmniejszego uznania Niech się p. Dz. wcale temu nie dziwi, bo to u nas weszło już w regułę, że wtenczas umiemy dopiero coś własnego ocenić, uszanować, gdy obcy pochwalili. Poniewieranie uczciwych usiłowań i twardej pracy, jest u nas na porządku dziennym. Nie szczególna to podnieta do rozwoju, dla którego wystawy mają być dźwignią. Nie będzie jednak inaczej, jak długo własna pomoc nie przejdzie w ręce, które z pracą twardą są rzeczywiście obeznane. Pomimo wszelkich pozorów postępu, nie wyszliśmy jeszcze po za granicę towarzystw wzajemnej adoracyi oraz lekceważenia tej szlachetnej walki, jaką przemysł nasz toczy z wszelkiemi wrogiemi mu żywiołami. Jak długo komitety wystawowe składać się będą z wolontarjuszów nie mających żadnego lub bardzo małe pojęcie o właściwych celach wystaw krajowych, tak długo nie wydadzą one zdrowego plonu. Dlatego też pomimo warunków dodatnich, jakie miała wystawa przemyska, popełniono tam tak wiele krzyczących niesprawiedliwości, iż potrzeba szeregu lat, aby zostały zapomniane i najdzielniejsi nasi przemysłowcy wzięli w przyszłych wystawach udział. Na nieszczęście chęć małpowania wystaw zagranicznych i jakieś szczególne pojęcie o kurtoazyi, postępie międzynarodowym, o łączeniu się z tymże, nietylko nie osięga celu, ale naraża nas na śmieszność a w końcu zamiast uznania rzucają nam w oczy von Draussery obelgami, jak „Bärenland, verfluchte Polakei i t. p.“ Z takiemi uczuciami wyjąwszy kilku, żegnali wystawę von Draussery, a nawet nasi krajanie z Białej i Bielska, których obesłanie wystawy przemyskiej podniósł p. Marszałek przy otwarciu wystawy do faktu wielkiej doniosłości, nieomal politycznego.

Czego nie można darować komitetowi, to braku wszelkiej znajomości a nawet wyobrażenia, kogo się winno było powołać na sędziów rozmaitych grup przemysłowych. Szumnie ogłoszony ten areopag wyroczni, zestawiony na chybił trafił, przedstawiał raczej suknię arlekina, dla której zszywającemu jest obojętne, czy wydobędzie efekt jakiejkolwiek harmonii. Przemysłowcy pocieszali się jedynie tem, że pp. sędziowie do specyalnych grup przybierą ludzi fachowych, o czem członkowie komitetu zapewniali przemysłowców. Jednakowoż już zaraz po otworzeniu wystawy, gdy rozpoczął się przegląd przedmiotów przez sędziów i budził słuszne obawy u niektórych wystawców, członkowie komitetu interpelowani pojedynczo, odpowiadali na ucho, iż trudno w tym względzie coś zmienić, gdyż komitet odebrał z góry (?) wskazówki, kogo, jak i zaco ma premiować, a więc być może, że przy małej ilości medali, niejeden wystawca będzie pominięty. W następstwie podczas premiowania, prawda ta nie została niczem osłabioną i można się też było przekonać, że chcąc odnosić pierwsze nagrody, przedewszystkiem uprzywilejowani dygnitarze i w wysokich sferach protegowane zakłady, posiadają jakby monopol dyplomów i medali.

Jestto objaw smutny ale że nie nowy, to można się i z tem oswoić, jeżeli się jednemu i temu samemu dygnitarzowi na szesnaście medali srebrnych-rządowych, a więc najwyższych nagród, udzieli aż pięć. Cóż więc pozostaje dla całej reszty licznej legii, chociażby najzasłużeńszych ludzi?

Byliśmy jednak świadkami szlacheckiej i hrabiowskiej odwagi cywilnej, która godną była zaiste lepszej sprawy. Działo się to w grupie powożnictwa, gdzie firma Schustali przybyła z zagranic kraju nie na wystawę, ale poprostu na jarmark; — a jeden z sędziów przeznaczony do oceny tej grupy, zamożny obywatel ziemski tak daleko zapoznał swoje zadanie, iż nieczekając aż spełni swój obowiązek sędziowski, naprzód wytargował dla siebie powóz i kupił takowy. Niekoniec jeszcze na tem. Podczas wystawy z największą krzywdą wystawców krajowych, jak Pawlika, Lickendorffa i innych kilku, którzy jeszcze raz odważyli się obesłać wystawę swemi znakomitemi wyrobami, odgrywał p. juror rolę faktora von Draussera, sprowadzając mu kilku kupców na powozy, odciągając formalnie od wyrobów krajowych. Aby udekorować tę swoją miłość i braterstwo nach Draussen, był na tyle czelny, iż na posiedzeniu komitetu postawił wniosek, aby jeden z powozów Schustali zakupić na losowanie. Takie gardłowanie przechodziło już jednak wszelkie granice, a więc z obawy za jaskrawego zgorszenia, wniosek ten nie został przyjęty. Sprawa ta stała się bardzo głośną na całym placu wystawy i temu zawdzięczyć należy, że nieśmiano również przyznać pierwszej nagrody za powozy p. Schustali, lecz p. Pawlikowi z Przemyśla.

Jak tę miłość nach Draussen usiłowano wynagradzać, niech posłuży jeszcze jeden fakcik. Oto przy zakupywaniu przedmiotów wystawowych na fanty, ci którym to zostało poruczone, nieżenowali się bynajmniej, czyniąc szczególną łaskę naszym przemysłowcom, żądać od nich prezentów darmo na te fanty, albo też jak np. p. Witoszyńskiemu nożownikowi z Krakowa, ośmielono się stawiać propozycyę że: „weźmiemy od pana tyle a tyle noży, ale z tym warunkiem, iż oddasz pan sztuka na sztukę po 1 zł.“ — Pan Witoszyński niezapomniał jednak języka w gębie, a tem słuszniej, że noże te które wybierano, przedstawiały wartość po 3, 4, 5, 6 złr. i wyżej. Odpowiedział też:

— „Dziękuję za łaskawe względy, ale moje noże nie rosną na łące ani też na zagonie.

Jeszcze próbka pojęć jak się przemysł popiera. Pan Marconi, wystąpił po raz pierwszy z całym szeregiem prześlicznych wyrobów artystycznych z alabastrów krajowych, który to przemysł rodzący się dopiero u nas, zyskał najzasłużeńsze uznanie zwiedzających wystawę. Swoją drogą, że nawet najzamożniejsza nasza śmietanka, racząc się przeglądać protekcyonalnie przez szkiełka, nic z tego prawie nie zakupiła (wyręczyła ją w tym względzie Warszawa, zabierając po wystawie wszystko do siebie).

Otóż przy zakupnie na fanty, wzięto wyrobów alabastrowych aż za 20 złr., i nie dziw, bo pan Stromenger ze Lwowa, który w oszklonej szafie obok wcale nieciekawych szorów na konie, przedstawił całą kolekcyę reitpeiczów i batów, wyrobu wiedeńskiego, którym się należało uznanie; zakupiono ich więc na fanty — za sześćdziesiąt złr. Takich faktów dałoby się jeszcze wiele innych wyliczyć.

W premiowaniu pominięto tak dobrze zasłużonych przemysłowców, iż całe nasze społeczeństwo przemysłowe uczuło się tem nader przykro dotknięte; to też niedziw, że na każdym kroku można słyszeć zapytania: kto tę niefortunną blagę i tak obrzająco śmiałą urządzał? która wystarcza, aby każdy uczciwy przemysłowiec raz na zawsze wyrzekł się wszelkich wystaw krajowych. I tak: pominięte zostało tak wielkich zasług towarzystwo jak „Spółka stolarzy lwowskich“, gdy widocznie po ukazu z góry premiowano pp. Wczelaków, których pawilon, obejmujący zaledwie kilka sztuk mebli, niegrzeszących wykończeniem, świecił pustkami, że go aż potrzeba było zapełnić fraszkami, nienależącemi do działu stolarstwa. Dla czego pp. Wczelakowie nie wystawili np. jakiego fotelu z Izby sejmowej, które dostarczali?

Stara to firma i znana z rzetelności pp. Drexlera i Synów we Lwowie; wystawiła ona tak postępowe pościele, kołdry i materace, z któremi się po najpierwszych zagranicznych zakładach z trudnością by przyszło spotkać. Panowie jurorzy nieraczyli nawet zbadać bliżej tych znakomitych wyrobów, bo w wyobrażeniach ich pościel a pościel, kołdra a kołdra, materac a materac, to wszystko jedno. Wyroby te przeznaczone były właściwie na wystawę do Tryestu, lecz pp. Drexler i Synowie woleli tu wystąpić, — aby być pominiętymi przez niefachowych jurorów. Tak samo postąpiono w dziale spożywczym z seniorem naszego kupiectwa p. Adolfem Mańkowskim który przedstawił takie okazy marynat handlowych z ryb krajowych, Mixed Pickle, etc. w otoczeniu słynnych nalewek, że te na każdej wystawie światowej uzyskałyby były uznanie jako torujące drogę do obszernych artykułów wywozowych. Któż się mógł jednak nad tem zastanawiać, gdy parę kroków obok w samem centrum wystawy, reprezentował się jakby wielki ołtarz złocony i rzeźbiony a napełniony fabrykatami p. Baczewskiego ze Lwowa; rozmaitemi eksperymentami olejków i maceracyj alkoholowych na zimno wykonywanych, a la minute. O ołtarzu tym mówili kompetentni, że nader trafnie był umieszczony na najpierwszem honorowem miejscu wystawy, — jako symbol moralności w Galicyi, któremu trudno, aby nawet komitet wystawowy niezłożył najgłębszego hołdu.

Na paryzkiej wystawie w r. 1867 na takiej samej osi wystawiono oszkloną szafę, która mieściła wszystkie monety, reprezentujące ideał bóstwa 19tego wieku. Komitet galicyjsko-przemyski poszedł dalej; wziął za podstawę naszego wszechruchu społecznego — gorzałkę. — Pan Baczewski dostał medal państwowy.

Tak samo jak z p. Adolfem Mańkowskim, postąpiono i z p. Monné, słynnym również od lat wielu ze swych naturalnych nalewek i likworów bez olejków. Cóż powiedzieć, gdy zabrakło

medalu dla p. L. Wierzbickiego, którego wytworne wyroby introligatorskie uzyskały sławę nie tylko w Galicyi? — Dalej co ma mówić p. Alfred Dzikowski, który wszelkiemi siłami i znacznym nakładem usiłuje podnieść tak prawie zupełnie upadłe u nas rusznikarstwo? Prosimy pp. jurorów zajrzeć do jego warstatu, a tam mogą się przekonać, jaki ruch panuje. Nic nie mamy przeciwko temu, że premiowano młodziutką firmę p. Molnara, ale niegodziło się pominąć p. Dzikowskiego. (C. d. n.)

Z Rady miasta.

(K.) Dnia 21. września odbyło się posiedzenie Rady miasta pod przewodnictwem Wiceprezydenta p. Dąbrowskiego. Po udzieleniu 4 tygodniowego urlopu p. Richtmanowi odrzucono już kilkakrotny rekurs p. Shuttlewortha fabrykanta machin, któremu nakazano w miejsce budynku drewnianego na skład postawić ściany murowane. Następnie udzielono konsensu na budowę szkoły św Anny i przystąpiono do dyskusyi nad wnioskiem co do postawienia pissoarów na placach publicznych. Wniosek urzędu budowniczego, aby tymczasowo postawić dwa, odrzucono i przyjęto tylko jeden dla próby, która jeśli się uda a będą na to dostateczne fundusze, ma się tychże postawić pięć.

Szkole rysunków i modelowania przy miejskiem Muzeum przemysłowem przyznano złr. 60 na premje dla celniejszych uczniów. Przyjęto do gminy lwowskiej p. Józefa Stachurskiego, słuchacza politechniki i p. Józefa Gallascha, pierwszego za opłatą taksy złr. 10 drugiego 20 złr.

Przyjęto wniosek o wypłatę datku konkurencyjnego na restauracyę probostwa w Malechowie i udzielono komitetowi parafialnemu kościoła pod wezwaniem NP. Maryi śnieżnej, zaliczkę w kwocie 3000 złr. na dalszą restauracyę tej świątyni.

Następnie przystąpiono do wielce ciekawej dyskusyi w sprawie unormowania stosunku przy stawach, z których jeden jest własnością konwentu pp. Sakramentek, drugi p. Comellowej. Przy tej okazyi mianowicie wskutek interpelacyi p. Jägermana, okazało się że Urząd budowniczy niema dotąd księgi wodnej dla miasta Lwowa. Wprawdzie p. radca magistratu Łyszkowski wyjaśnił bardzo uprzejmie, że właśnie sprawa tych dwu stawów skłoni urząd budowniczy do zaprowadzenia takiej księgi, to jednak dość smutnie, że w miejscu tak obfitującem w różne zbiorowiska wodne jak Lwów, dotąd żadnemu z inżynierów jeżeli już nie samemu p. Dyrektorowi nie przeszło nawet przez myśl, że ujęcie w normy tych zbiorowisk nie należy do Opatrzności tylko właśnie do urzędu budowniczego.

Sama sprawa tych stawów przedstawia się jak następuje: Od stawu pp. Sakramentek, w którym nawiasowo mówiąc, stan wody niezawsze bywa prawidłowy, prowadzi przez ulicę Sakramentek dziki rów do odpływu wody ze stawu, który to rów wchodzi dalej w ogrody kilku właścicieli realności przy ulicy Na Rurach i tam wpada do Pełtwi. Namuł z ulicy Sakramentek wpadający do tego dzikiego rowu, który bardzo rzadko bywa czyszczonym, robi taki skutek, że naraz wypuszczona woda ze stawu pp. Sakramentek nie mając dostatecznego miejsca dla nadmiaru tejże, wylewa na ogrody właścicieli wspomnionych, robiąc im szkody ciągłe. Dla uniknienia tych niespodzianek nadal, przyjęła gmina obowiązek czyszczenia tegoż rowu po wieczne czasy a właściciele przez których ogrody rów prowadzi, podjęci się ocembrować go.

W końcu przyszedł na stół Rady wniosek względem zezwolenia na ustawienie kiosków do sprzedaży dzienników. Petentami są niejacy Burke i Sp. z Paryża, którzy między innemi zobowiązali się zapłacić placowe, i utrzymywać kosztem własnym porządek około kiosków. Sekcya III której referentem był p. Gołąb, uchwaliła przejść nad tą prośbą do porządku dziennego, motywując swe zapatrywanie obawą, że w kioskach takich mogliby sprzedawać różne książki niemoralne i w około mogłaby się gromadzić nieczystość. W dyskusyi nad tem wyjaśnił p. Lewandowski, że czuwanie nad moralnością i czystością należy do władz policyjnych. Mimo wniosku sekcyi III. uchwaliła Rada udzielić p. Burkemu pozwolenie budowania kiosków, jednak z poprawką p. Kulczyckiego, aby jeśli przedsiębiorca do kilku miesięcy zobowiązań swych niewykona, cofnąć temuż udzielone pozwolenie.

Idąc śladem sprawozdawców innych dzienników, wypadałoby nam na tem zakończyć dzisiejszą naszą relacyę; my jednak nieuczynimy tego i niemoglibyśmy przenieść na sobie, aby w takiej sprawie, jak właśnie sprawa stawiania kiosków dla sprzedaży dzienników, niewyrzec kilka gorzkich słów prawdy naszym przemysłowcom. Jużto może żadna stolica niewydaje tak ochoczo patentów na wyzyskiwanie samej siebie różnej nazwy kulturträgerom, jak Lwów. Wszystkie większe przedsiębiorstwa znajdują się w ich ręku. Weźmy za przykład Zakład gazowy, tramwaj i t. p. a teraz świeżo kioski. Pojmujemy, że pierwsze jako wymagające bardzo znacznych kapitałów mogły niezachęcać do ryzyka ale w mowie będące przedsiębiorstwo niewymaga przecież znowu ani milionów, kroci a nawet dziesiątek tysięcy. Inna by była także rzecz, gdybyśmy niemieli zakładów, zaopatrzonych w przyrządy i materyały potrzebne do zbudowania takich kiosków — co więcej, gdybyśmy niemieli ludzi fachowych, mogących wodzić rej choćby nawet w Paryżu. Weźmy np. taki zakład blacharski p. Leona Bratkowskiego, dla którego niebyłoby ani niczem tak wielkiem ani trudnem wystawienie takich kiosków, a byłyby przynajmniej swojskie. O tem na posiedzeniu Rady nikt się nie ozwał, nikogo niezraził ten policzek wymierzony w twarz naszemu przemysłowi, który po tylu wystawach krajowych i światowych zdobywa medale i dyplomy. Kto tutaj winien, bezmyślność czy zła wola? Czy wobec tego słusznem jest narzekanie na rząd, jeżeli do liwerunków swych powołuje obcokrajowców, jeżeli mając ręce swobodne w urzędach czysto autonomicznym sami dajemy się wyzyskiwać. W takich warunkach nigdy u nas przemysł się niepodniesie i nieustanie mniemanie o nas, że bez pomocy von Draussen obejść się niemożemy. Może choć tych kilka słów wywoła rumieniec wstydu na policzki tych, którzy bezmyślnie zapoznają nasz przemysł i otwierają wrota kraju obcemu najazdowi.

Nasza scena polska i publiczność.

Ku zgorszeniu naszych Timesów nadpełtwiańskich użyjemy pomimo to za godło naszego artykułu słów, wyjętych z *Diła* ruskiego, napisanych zaraz po procesie Olgi Hrabar i towarzyszy: „my jesteśmy chorzy — bardzo chorzy!“

Otóż gdyby nie ten rzeczywiście zatrważający stan chorobliwy naszego ducha i moralności narodowej, to pomimo wszelkiej biedy, na której karb wszystko co ujemne w nas kładziemy, byłoby niejedno lepiej i uczciwiej. Gdy zamiarem naszym mówić o scenie polskiej we Lwowie, to i ta nie chorowałaby na niedokrewność i była rzeczywiście szkołą społeczną wzmocnienia i wykształcenia ducha. Zatracenie jednak prawie wszelkiego zmysłu zachowawczego odrębności narodowej i dla niej niezbędnych warunków do życia, wyłania się z każdym dniem coraz więcej. Wyradzamy się na każdem stanowisku, lekceważąc takowe, okłamujemy samych siebie że idziemy z postępem czasu i niemożemy się wyróżniać od innych narodów. Pod tą pokrywką dokonujemy dzieła zniszczenia daleko prędzej, aniżeli tego najwięcej wrogie żywioły dokazać mogą. Być może, że się na nas nie jeden czytelnik oburzy, gdy powiemy, iż z każdym rokiem, z każdą dobą zaciera się w nas coraz więcej ta szlachetna przeszłość narodowa, która jedynie była naszą siłą i powagą w obec innych narodów. Z każdym rokiem, z każdym dniem dobrowolne wynarodowienie nasze, czyli kosmopolityzm, rozwielmożnia się progressyjnie. Z każdym rokiem, z każdym dniem zatracają coraz więcej jednostki odrębność narodową i krom imienia polskiego, nic już tym bankrutom nie pozostaje.

Od pewnego czasu nazywane są *Strażnica pol.* i *Sztandar polski* nietylko w pogawędkach prywatnych, ale w organach chorujących na przewodnictwo prowadzenia opinii publicznej „pismami fenomenalnemi“. Nazwa ta jest smutną dla nas z tego powodu, że jest dowodem, iż mówienie bezwzględne prawdy, bez oglądania się jak to mówią „na poślednie kółka“ należy u nas niestety już do fenomenów tylko. Nie przeszkadza nam to jednak iść dalej, pomimo oburzenia rozmaitych patentowanych powag. Wiadomo albowiem, iż niejedna z nich wyłamała już sobie na nas zęby, a da Bóg, jeszcze sobie nieraz wyłamie. Zresztą skrzek ropuch jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Sztandar polski w ostatnim numerze podniósł sprawę sceny lwowskiej z odrębnego stanowiska, niełącząc się ani z petycyą przybraną na pozór w togę powagi obywatelskiej, ani też z usprawiedliwieniem p. Miłaszewskiego. Gdy jednak w artykule swym nie wyczerpał danych, obowiązkiem naszym mówić o tej sprawie dalej. Z każdym dniem przekonujemy się coraz więcej, że tak nazwana monstrualna petycya do Sejmu, nie jest bynajmniej wynikiem bezstronności, ani też poczucia podniesienia sceny do właściwej godności, lecz tylko zręcznie inscenowanym szmermelem, na który się dało złapać wiele osobistości i połączyło z hasłem bez bliższego zapoznania się ze sprawą: „hajże na Miłaszewskiego!“ Niechaj jednak nikt nie myśli, abyśmy przez to chcieli p. dyrektora brać w obronę dlatego, żeśmy pierwsi zabierali głos, gdy szło o oddanie mu sceny. Doznaliśmy wielkiego zawodu; do tego przyznajemy się tak samo jak *Sztandar polski*, pomimo to nie mamy tej odwagi, aby na niego tylko rzucać kamieniem.

Otóż zdejmujemy rękawiczki i chwytamy pióro w gołą rękę.

Niezaprzeczonego upadku sceny polskiej we Lwowie nienależy przypisywać w całości ani p. Janowi Dobrzańskiemu ani p. Miłaszewskiemu, ale rozradzającemu się upadkowi moralnemu publiczności, która przestała uważać teatr jako publiczną instytucyę wychowawczą, lecz tylko za doraźną zabawkę oddziaływającą na łechtanie zmysłów. Nie jest to tajemnicą, że gdy ktoś usiłował zwrócić uwagę na ten zgubny kierunek, gdy się gorszył bezeceństwami i wszelkim cynizmem, występującym ohydnie na scenie polskiej, odbierał głośną odpowiedź: „co mi tam, ja nie idę do teatru aby słuchać jakichś dramatów, bo tych mam dosyć w codziennem życiu; idę po to aby się zabawić i naśmiać“. Takie zdania i głosy nie wychodziły tylko z warstw mniej wykształconych, ale od najcelniejszej śmietanki towarzystwa społecznego; od tych, którzy z rodu i mienia uzurpują sobie kierownictwo wykształceniem i każą się uważać za wyrocznię. Gdy na tych niby najwyższych szczeblach społeczeństwa rodzą się zgubne przykłady, nie dziwmy się temu, co się dzieje niżej. Dzieła tak nazwane narodowe, patryotyczne na scenie, zostały przez tę śmietankę absolutnie potępione, wyśmiewane po prostu i wskazywane jako motory dążeń do przewrotu, do rewolucyi. Nie jest to bynajmniej oszczerstwem, bo moglibyśmy liczne przykłady przytoczyć, że w wielu salonach naszej śmietanki wyrażano się o narodowych przedstawieniach scenicznych z nietajonem szyderstwem i ironią, których słuchała jako wyroczni cała progenitura już i tak nawpół zidyociałych dzieciaków niedorostków obojca płci, tego obfitego u nas materyału na gogów, szulerów, bezwstydnych lampartów, fałszerzy weksli, w ogóle motorów wszelkiej nazwy bankructwa moralnego i realnego. Niedająca się u nas zaprzeczyć bezkarność, nie mogła poskramiać, ale przeciwnie dodawała otuchy, gdy ta zgangrenowana czereda plwała i drwiła z wszelkiego patryotycznego poczucia na scenę. Takie hasło szło dalej i coraz dalej, niedziw więc, że musiało w końcu doprowadzić scenę polską do upadku.

Tak więc możemy też śmiało rzucić prawdę w oczy:

„że jaka publiczność, taką ma i scenę“.

Gdybyśmy nieupadali tak nisko moralnie, to od łączności publicznej zależało i było w jej mocy zachować teatr na podstawie godności, jaką zresztą każde szlachetne i patryotyczne serce i umysł rozumieją. Publiczność licząca się z przyszłością narodową, potrzebowała tylko dać wyraz oburzenia, powstrzymać się na chwilę od uczęszczania do teatru a każda dyrekcya musiałaby się liczyć z nią. Nakoniec na upartych dyrektorów ma publiczność nawet po pierwszorzędnych scenach europejskich, jeszcze jeden środek nader skuteczny a tem są: zgniłe jabłka i cuchnące jaja. Prawdą jest, że w dyrektywie opinii publicznej ważną rolę odgrywa dziennikarstwo, a które u nas niemało się również przyczyniło do zdemoralizowania sceny, mianowicie od czasu, gdy p. Jan Dobrzański był równocześnie dyrektorem teatru i redaktorem *Gazety Narodowej*. Dodajmy że recenzenci teatralni rekrutują się nader często z pod ław cuchnących szynków lub z lokajczuków i fagasów do szczególnych poruczeń; można więc nabyć pojęcia o wartości oceny przedstawień scenicznych.

Lecz chcemy być sprawiedliwi, że te wyrocznie i tych dziennikarzy chował nie kto inny, jak rozstrój moralny w społeczeństwie recte publiczność.

Zapytujemy: z kądże obecnie przychodzi ta sama publiczność do tego, aby od dyrektora teatru miała prawo żądać wszelkie doskonałości cnoty, której sama nieposiada? Zapytujemy: czy dyrektor biorący teatr lwowski w dzierzawę byłby się odważył karmić publiczność idyotyzmem i niemoralnością, gdy ta powodując pustki na każdem poważniejszem przedstawieniu, zapełniała amfiteatr jedynie podczas operetek i tłustych fars i dotąd zapełnia?

Petycya do Sejmu, jaką nawet plakaty na murach popierają, nie jest bynajmniej wynikiem szlachetniejszej myśli podniesienia sceny polskiej, na jaką to plewę sprytnie zorganizowane towarzystwo, oparte na wzajemności interesów, usiłuje łapać nawet stare wróble, wyzyskując dobroduszność i łatwowierność. To co już *Sztandar polski* nadmienił, powtarzamy i my wyraźniej, że u fundamentów tej petycyi stoi banda rozgnojonych pasożytów, której zadaniem wziąć scenę polską pod własne kierownictwo, aby odpowiedniemi środkami demoralizować społeczeństwo coraz więcej, zamraczać wszelkie zdrowsze poczucie patryotyczne a naginać społeczeństwo do popierania wszelkiej nazwy szacherek politycznych i prywatnych. Oto jest cel i właściwy powód petycyi.

Dziś może nam ktoś powiedzieć, że to oszczerstwo rewolwerowe. Daj Boże, aby takiem było, abyś-

my się zapóźno nieprzekonali, że *Strażnica polska* miała tę f e n o m e n a l n ą o d w a g ę powiedzenia prawdy.

I jakież wyniki dodatnie dla sceny polskiej ma spowodować ta petycya? Oto ma być rozpisany w tych dniach konkurs na przedsiębiorstwo teatralne. Jestto nowy dowód płytkich poglądów naszych patentowanych powag, które na wszystko mają czas, ale tylko nie na to, co wymaga sumiennego zastanowienia Taki środek mający podnieść scenę, może tylko wychodzić od tych, którzy działają tylko w złej woli lub nie widzą nic więcej, oprócz końca własnego nosa. Wyrodzenie sceny polskiej we Lwowie doprowadziła albowiem sama publiczność a nie kto inny do tego stopnia, że żaden dyrektor, któryby nawet przyszedł z kapitałem 50.000 złr. lub jeszcze wyższym, nienaprawi, jeżeli po roku a najwyżej po dwóch niebędzie chciał wyjść bankrutem — z torbami. Chcąc scenę lwowską postawić na warunkach prawidłowych, jest tylko jeden środek, wprawdzie cokolwiek kosztowny, ale gdy posłannictwo sceny tego wymaga, konieczny.

Rozpisanie konkursu dla zwolnienia nowych przedsiębiorców, bo inaczej pp. dyrektorów w tych warunkach nazwać niemożna, niewytrzymuje żadnej krytyki. Przeciwnie konkurs taki nazwaćby można niemoralnym, bo z jednej strony niepodniesie sceny przy uporze zdegenerowanej publiczności, a z drugiej narazić musi człowieka dobrej wiedzy bezwzględnie na utratę mienia i dobrej sławy. Tak przecież niewolno postępować tak poważnemu ciału, jak autonomiczna reprezentacya, Wydział krajowy. Jeżeli reprezentantom kraju leży rzeczywiście na sumieniu i sercu umoralnienie sceny, to niech się zgodzą z tem, że przynajmniej na rok jeden teatr lwowski nie może być wypuszczany w przedsiębiorstwo, ale administrowany we własnym zarządzie. Na ten cel wypada wyszukać uzdolnionego odpowiednio kierownika sceny, recte reżysera, któryby stał odrębnie poza wszelkiemi intrygami zakulisowemi. Temuż dodać z ramienia Wydziału krajowego odpowiednią administracyę, złożoną z ludzi takich, którymby rzeczywiście dobro sceny narodowej leżało na sercu.

Dalej wybrać nowy komitet teatralny, ale z osób, któreby posiadały rzeczywiste wykształcenie odpowiednie do zajęcia takiego obywatelskiego stanowiska. Jestto wprawdzie dosyć trudne zadanie, bo jak nas doświadczenie poucza niekażdy profesor literatury polskiej, może reprezentować członka komitetu. Bo i to bywa, że pomimo tytułu, organa słuchu przedstawiają stan chorobliwy z powodu swej niezwykłej długości. Tak samo nie każda patentowana powaga, osiwiała w sprawach publicznych i olśniewająca lwią grzywą, jest poczytalną w warunkach moralności publicznej. Komitety czyli rady nadzorcze moralności scenicznej i powagi, komenderowane z takich żywiołów, przyczyniają się w pierwszym rzędzie do upadku sceny. Rzeczywiście one powinny być pociągane do odpowiedzialności publicznej.

Repertoar teatralny winien być układany przy pomocy głównego kierownika przez komitet; — bez względu czy zdegenerowanej publiczności się to spodoba lub nie. Można być na to przygotowanym, co już zresztą i *Sztandar polski* zauważył, że w publiczności rodzi się opozycya, która jednak niepotrwa długo i z zwolna zacznie się amfiteatr zapełniać. Tak postępując, najdalej po roku, zwróci się poczucie piękna scenicznego na inną, właściwą drogę. Dezercya dotychczasowa uzdolnionych artystów opamięta się, bo będzie widzieć własne dobro i przyszłość. Tak samo utworzy się pole dla utalentowanych młodych adeptów sztuki dramatycznej.

Wyszukawszy uzdolnionych i zamiłowanych w zawodzie swym kierowników, można będzie przygotować powoli i własną operę. W tym kierunku mianowicie przekonani jesteśmy, że znalazłyby się osobistości, któreby z prawdziwem poświęceniem i pod nader przystępnymi warunkami podjęły sumienną pracę.

Oto jest główny zarys, który spełniony, jest jedynym, mogącym podnieść scenę naszą we Lwowie. Wszelkie inne eksperymenta będą tylko złudzeniem i z każdym rokiem doprowadzać będą teatr do coraz większego upadku. O ile wobec tak ujemnych warunków, jak dotychczasowe prowadzenie sceny, wszelka chociażby najniższa lub najwyższa subwencya, przedstawia tylko zmarnowanie grosza publicznego i służy za środki demoralizacyi, — o tyle według programu naszego (który prędzej czy później musi przyjść pod, rozwagę) Sejm niepowinien się ani chwili wahać przed ofiarnością dążącą do podniesienia sceny narodowej, jeżeli niechce się przyznać, że doniosłość sceny polskiej i jej cel nie są mu obojętne.

Przyznajemy, że program nasz nie jest zbyt łatwy do wykonania, nastręcza on niejedne trudności, lecz gdy na usunięcie tychże pozostaje pół roku czasu, to przy silnej woli można wszystko pokonać.

KRONIKA.

W ostatniej chwili otrzymaliśmy zawiadomienie od p. Ambrożego Chmielewskiego, że przeciw instrukcyi w przedmiocie rozkładu podatku gruntowego, wydanej przez pp. posłów, Dawida Abrahamowicza i Józefa Męcińskiego, w „Gaz. Nar.“ z dnia 26. września b. r. Nr. 220 ogłoszonej, na ręce posła samborskiego p. Michała Popiela, do Wysokiego Sejmu krajowego protest wnosi, z prośbą o odwołanie tej instrukcyi, albowiem tak samo jest błędną, jak błędną była instrukcya wydana przez p. Abrahamowicza do wnoszenia reklamacyj.

Corpus delicti. W numerze 10 *Strażnicy polskiej* z dnia 12. sierpnia r. b., zamieściliśmy artykuł pod tytułem: „Opiekunowie Gmin“ (obrazek autonomiczny) opisującym jaka gospodarka prowadzi się w gminach, znajdujących się najbliżej światła i czujności autonomicznej Rad powiatowych. Zapytaliśmy się: co się to dziać musi dalej, jeżeli w powiecie otaczającym stolicę kraju, latami trwają takie nadużycia i rabunek majątku gminnego, a Rada powiatowa czy też o tem nie wie, lub wiedzieć nie chce. Otóż p. T e o f i l M e r u n o w i c z, sekretarz Rady powiatowej powiatu lwowskiego, poseł na Sejm krajowy, tak się czuł obrażonym tym artykułem, iż nam w *Gaz. Narod.* zapowiedział proces kryminalny o oszczerstwo, którego dotąd jednak pomimo upragnienia, doczekać się nie możemy. Lecz i cierpliwość jak się przekonujemy, przynosi korzyści To też i my do procesu, otrzymaliśmy cały transport dokumentów, który świadczyć będzie o doniosłości n a s z e g o o s z c z e r s t w a. I tak: Gdy Jan Mokry przez trzy lata rozbijał gminę Ostrów pod Szczercem, okradał na tysiące i dopuszczał się nieustannie formalnych zbrodni, o których pomimo komisyi, skarg i skontrów przez urzędników Rady powiatowej dokonywanych; pp. Marszałek, Dawid Abrahamowicz i sekretarz Teofil Merunowicz nic nie wiedzieli, nasz artykuł przynajmniej o tyle pomógł, że Jan Mokry, naczelnik gminy Ostrowa, po powrocie p. marszałka z kąpiel, w 24 godzinach został suspendowany, wytoczono mu śledztwo kryminalne, a Jan Mykitka, członek Rady powiatowej, zarazem pisarz gminny Jana Mokrego, dostał się pod klucz więzienny.

Jaka tam była gospodarka przez trzy lata, o której Rada powiatowa nie wiedziała nawet wtenczas, gdy p. Teofil Merunowicz rewidując rachunki gminne u Jana Mokrego, nie znalazł mankamentów, przechodzi wszelkie wyobrażenie, jeżeli się obecnie przekonujemy, że Jan Mokry z pisarzem Mykitką i kasyerem Harakiem, nakładali kontrybucye na gminę przez 3 lata, prawie w takiej doniosłości jak podatki, licząc sumę ogólną.

Pomiędzy innemi, gdy n. p. od biednej wdowy ściągano j e d e n c e n t podatku, pobierano od takowego s z e ś ć c e n t ó w jako wpisowe.

Gmina uchwaliła w budżecie na podróże dla naczelnika gminy do Rady powiatowej i w innych interesach gminy 100 zł. rocznie. Pan naczelnik nakładał kontrybucyę przez 3 lata p o d w a zł. z numeru, co przy 360 numerach w gminie Ostrów, czyniło rocznie **720 zł.**; oprócz tej sumy nakazywał na każdą razą po kilka tak zwanych forszpanów, którymi jeździł. Szczególniej eksploatował tych, którzy się jakimkolwiek przemysłem trudnili, grożąc im podwójnem opłacaniem podatku. Przy ściąganiu podatków, nie trzymano się bynajmniej rozkładu, lecz kontrybuowano ile się podobało. W rachunkach podawano po dwieście kilkadziesiąt reńskich, jakoby zapłacono podatek za biednych mieszkańców, tymczasem te sumy szły do kieszeni Jana Mokrego, Mykitki i kasyera Haraka. W ręku naczelnika powinny się znajdować depozyta wynoszące kilka tysięcy złr.; depozytów tych, jak nam donoszą, nie ma; zostały poprostu roztrwonione.

Trudnoby wyliczyć wszystkie sprawy kryminalne, które tam od trzech lat były powszednim chlebem, gmina obdzieraną do ostatniej koszuli i to w powiecie otaczającym stolicę kraju i nic o nich przez 3 lata nie wiedzieli, ani p. marszałek Dawid Abrahamowicz, ani sekretarz Rady powiatowej p. Teofil Merunowicz. Obadwaj znakomici i znani mężowie stanu.

Doniesienia z wiarogodnych źródeł z Ostrowa, jakieśmy dzisiaj odebrali, donoszą o tak jaskrawych czynach Jana Mokrego, kasyera Haraka i kilku ich przyjaciół politycznych, iż jest koniecznością, aby tam bez najmniejszej zwłoki, wkroczyła c. k. Prokuratorya.

Zapytujemy przytem pana marszałka Dawida Abrahamowicza, czy mu nie jest wiadomem, że urzędnik delegowany z Rady powiatowej do Ostrowa, nie chciał przyjąć protokołu żądań kilku członków gminy, którzy czynili zarzut fałszerstwom rachunków z całego perjodu jego urzędowania, a wpisano tylko protest za rok ostatni. Resztę nader ciekawych faktów, zachowamy do rozprawy publicznej przed kratkami sędziów przysięgłych, przed które nas raczy stawić za oszczerstwo p. Teofil Merunowicz.

Interpelacya posła Hausnera do Wydziału krajowego, w sprawie procesu dyscyplinarnego Dra Tadeusza Ż u l i ń s k i e g o, wzbudziła ciekawość Izby. Prawie wszyscy pp. posłowie powstali ze swoich miejsc i otoczyli trybunę. Gdy po odczytaniu interpelacyi przez posła C z a j k o w s k i e g o sekretarza Sejmu, zażądano odczytania nazwisk, kto oprócz posła Hausnera, interpelacyę tę popiera, poseł Cz. przeczytawszy kilka nazwisk, oświadczył, iż dalsze są nieczytelne. Następnie wziął tę petycyę do rąk p. Marszałek a przypatrzywszy się tejże, oświadczył, że tylko nazwiska posłów Kamińskiego i Spławińskiego są czytelne, a dalej widzi (po namyśle) „Gedele“, i jakieś inne. Uwaga ta sprawiła pewne zdziwienie na galeryach, gdyż wątpić należy, aby ten, kto uczęszcza do Sejmu nie znał nazwiska posła G e d e l i wie o tem, że nie ma żadnego Gedel*e*. Trudno więc zrozumieć, że ani sekretarz Sejmu, ani p. Marszałek, którzy nieustannie mają do czynienia z podpisami pp. posłów, w tym wypadku nie mogli takowych odcyfrować, a p. Marszałek szczególniej zwrócił na siebie uwagę, iż po kilkoletniem zasiadaniu z kolegą p. Gedel w Izbie sejmowej, tak mu to nazwisko jest obcem, iż mógł przypuścić, że podpisany nazywa się Gedel*e*. Dziwi nas, że Szanowny poseł G e d e l nie zażądał natychmiast sprostowania, coby niezawodnie natychmiast nastąpiło, gdyby p. Marszałek był np. przeczytał Czartorysk*e*, Tarnowsk*e*, Popiel*e*, Milieska*e*, albowiem nie da się zaprzeczyć, żeby to wychodziło na jedno co Gedel*e*.

Siatkowo drutowe eksperymenta akustyczne, w sali sejmowej, są jeszcze nieustannie na porządku dziennym. Próba przykrycia pp. Posłów siatką na całej przestrzeni sali dwa metry wysokości nad głowami, chybiła najzupełniej celu, i otwierała pole do humorystycznych spostrzeżeń. Podniesiono więc znowu siatkę szpagatową aż do wysokości łuków nad galeryami. Akustyka i przez ten eksperyment nie wiele zyskała; — natomiast uradowała się płeć piękna, która chociaż nic niesłyszy, przynajmniej może patrzeć w oblicza lub łysiny ojców kraju. Obecnie przystąpiono do trzeciego jeszcze jednego eksperymentu i rozciągając podłużnie nad trybuną i częścią sali grube druty metalowe. Sala wygląda teraz jak staroświecki instrument smyczkowy amorką zwany, który ma podwójne struny; — górą baranie a dołem z dzwięcznego metalu, aby głos instrumentu podniósł się do potęgi i oczyszczał nieharmonijne smyczkowanie. Czy to ostatnia próba trudno przewidzieć. W każdym razie, kosztuje ona p. Hochbergera wiele bezsennych nocy.

Szczególniejsza kurtoazya timesistów nadpełtwiańskich. Podczas jednego z ostatnich posiedzeń sejmowych, publiczność znajdująca się na galeryach, przyglądała się ze szczególną uwagą nader czułemu gruchaniu, jakto można było poznać z giestów dwóch znanych osobistości w loży dziennikarskiej. Jedną z nich był współwłaściciel *Gazety Narodowej* a drugą p. J o l l e s, osławiony oszczerca wszystkiego co polskie w korespondencyach ze Lwowa do *Neue freue Presse*. Gruchanie to, poufne zwierzenia i wzajemne ściskanie rąk, trwało przeszło godzinę ku zbudowaniu publiczności na galeryach. Gdy ci panowie wyszli, przybyło kilka osób z galeryi dla sprawdzenia ażali to rzeczywiście byli pp. Gromann i Jolles. My z naszej strony niebylibyśmy wcale zdziwieni tym objawem tak czułej zażyłości, gdyż patrzymy nie oddzisiaj na to: jakie przyjacielskie stosunki wiążą p. Jollesa nietylko z *Gazetą Narodową* ale i z *Dziennikiem Polskim*. Widzieliśmy jeszcze podczas procesu Olgi Hrabar, jak poważnie konferował p. exnotaryusz szef-redaktor *Dzien. Pols.* z tym S z r e i b j ü n g e ł e s e m od *Neue freie Presse*. Przekonani jesteśmy, że ci panowie byliby z taką samą kurtoazyą nawet dla pp. Emila Franzosa i Sacher Masocha, albowiem honor narodowy niema nic wspólnego z rzemiosłem dziennikarskiem, pracującem w pocie czoła dla niczego innego, jak tylko dla miłego grosza. Dziwna to rzecz jednak, że p. Jolles buszuje z taką samą śmiałością po kancelaryach sejmowych, jakby u siebie w domu. Gdziekolwiek indziej, dziennikarze nie siedzieliby razem nietylko w loży sali sejmowej, ale nawet w miejscu publicznem z takim nikczemnikiem. We Lwowie tylko nikogo to nieżenuje.

Jak lampa, zanim zgaśnie jasne światło ciska, tak i trupa teatru lwowskiego, zanim ostatecznie przez p. Miłaszewskiego dogryzioną nie zostanie, stara się przypomnieć publiczności... bankietami. We Lwowie dramat i komedya, w Krakowie opera i operetka lwowskie dały sobie uczty pożegnalne. Naturalnie toastów było bardzo a bardzo wiele, odbierano i wysyłano telegramy, a w tych liczbie nieunikniony do Kraszewskiego i postanowiono w ogóle na lwowskiem zebraniu postawić pomnik grobowy Dobrzańskiemu, autorowi Złotego cielca, na krakowskiem Wolskiemu. Jeżeli te dwa zamiary naprawdę przyjdą do skutku, będzie to świadczyć bardzo pięknie o naszych artystach. Ciekawiśmy jak też długo będą na

te pomniki kwestować, [chociaż króciej było zamiast kosztownej uczty z potokami szampana, sprawić za te pieniądze nagrobki...

(Przegląd Tyg. illustr.)

Ogłoszenie. Otwarcie nowego kursu w galicyjskiej krajowej szkole gospodarstwa lasowego nastąpi w połowie października 1882.

Warunki przyjęcia uczniów są następujące:

a) ukończenie roku 17go;

b) przynajmniej jednoletnie zajęcie praktyczne w leśnictwie;

c) wykazanie się przy egzaminie wstępnym tak ustnym jak piśmiennym z posiadania wiadomości przygotowawczych, odpowiadających przynajmniej ukończonej niższej szkole średniej.

Kto ukończył z dobrym postępem wyższą szkołę realną, gimnazyalną lub szkołę gospodarstwa wiejskiego w Dublanach, przyjęty być może z uwolnieniem od egzaminu wstępnego (c). Wyjątkowo zaś może być przez kuratoryę na wniosek dyrekcyi, także od jednorocznej praktyki (b) uwolnionym, kto ukończył z dobrym postępem szkołę gospodarstwa wiejskiego w Dublanach.

Nie posiadający kwalifikacyi określonej powyższymi warunkami, lub zamierzający uczęszczać tylko na niektóre przedmioty, przyjęty być może jedynie jako uczeń nadzwyczajny. Wolno także uczęszczać na wykłady osobom dojrzalszym, jako gościom.

Każdy uczeń płaci wpisowego 2 zł. w. a.; oprócz tego czesne wynoszące na półrocze jedno od ucznia zwyczajnego 5 zł. w. a., od ucnia zaś nadzwyczajnego tyle razy po 50 ct. w. a., na ile godzin tygodniowo będzie zapisany; przyczem dwie godzin rysunków, liczyć się będą za jedną godzinę wykładu. Gość nie uiszcza żadnej opłaty.

Za egzamin wstępny opłaca się taksę w kwocie 2 zł. w. a., która jest oraz wpisowem ucznia, przyjętego do szkoły na podstawie pomyślnych wyników egzaminu.

Ponieważ stypendya udzielają się dopiero po odbytym egzaminie z półrocza pierwszego, przeto każdy uczeń nowo przyjęty, zapewnić sobie musi utrzymanie przynajmniej na pół roku.

Wpisy uczniów rozpoczną się na podstawie piśmiennego podania od 1. października br. Kto na podanie o przyjęcie do szkoły, nie otrzyma odpowiedzi, uważać to może za wskazówkę, że umieszczony został na liście kandydatów.

Dzień otwarcia kursu podany zostanie wcześniej do publicznej wiadomości.

Dyrekcya krajowej szkoły gospodarstwa lasowego we Lwowie, dnia 15. września 1882.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.